

Makaronizmy

Niedawno ukazały się w „PAUzie Akademickiej” dwa pełne emocji teksty o codziennym języku Polaków¹. Odczytałem je jako – rozpisany na dwa głosy – krzyk rozpacz. Polonistka i dziennikarka, przerażone sytuacją, szukają możliwych sposobów poprawy. Pierwsza odwołuje się do właściwie rozumianego patriotyzmu, druga do dawno już zapomnianych, jak się wydaje, zasad dobrego wychowania. Podziela ich frustrację, podziela smutek. Gdy słyszę język, którym posługują się dzisiaj Polacy, na ulicy, w tramwaju czy w autobusie, również ogarnia mnie przerażenie. Gdy słucham w radiu wypowiedzi niektórych Ważnych Osób, jest mi wstyd. Gdy słyszę nieporadnych językowo dziennikarzy, którzy są (a przynajmniej powinni być) profesjonalistami, bywam bliski depresji. Ewidentnie najwyższy czas coś w tej sprawie zrobić. Nie warto chyba zastanawiać się, która z metod proponowanych przez autorki jest lepsza. Trzeba próbować wszystkiego, nawet gdy w szybkie rezultaty trudno uwierzyć.

A jednak nie do końca zgadzam się z Szanownymi Paniąmi. W szczególności nie sądzę, aby wprowadzanie do naszego języka słów i zwrotów zaczerpniętych od obcych, dzisiaj głównie z angielskiego, zasługiwało na tak bezwzględne potępienie, jakie wyrażają obie autorki. Moim zdaniem zjawisko to niekoniecznie jest szkodliwe, a w wielu sytuacjach raczej wzbogaca, niż psuje język.

Powstają przecież w ten sposób nowe słowa, powstają nowe konstrukcje frazeologiczne, które bardzo szybko znajdują swoje miejsce w języku polskim. Te, które okazują się sztuczne, po prostu nie są akceptowane i znikają. Klasyczny przykład, zresztą powołany w tekście p. Bajer, to „spór” pomiędzy podomką i szlafrokiem. Nie bardzo wiem, co w tym złego, że mamy dwa słowa na określenie tego samego przedmiotu. Mnie na przykład bardziej podoba się szlafrok, więc mówię szlafrok. Jeżeli jednak ktoś woli podomkę, nie mam nic przeciwko temu. Raczej cieszę się z możliwości wyboru.

Podobnie trudno mi zgodzić się z prof. Korytowską, że wprowadzanie obcych słów tam, gdzie istnieją odpowiedniki w języku polskim, jest szkodliwe. Naturalnie, nie jestem zwolennikiem używania obcych słów wyłącznie w celu popisania się znajomością obcych wyrażań, w tym również ich „właściwej” wymowy. Ale tutaj też tolerancja nie zawadzi, zwłaszcza że odczucia mogą się zmieniać. Pamiętam, na przykład, że gdy konieczne stało się wprowadzenie nowego słowa na określenie „maszyny liczącej”, wszyscy moi znajomi, włącznie ze mną, mówiliśmy „kompiuter” (bo tak to brzmi po angielsku) i wówczas bardzo mnie raziło, gdy słyszałem „komputer”. Po paru latach sytuacja się odwróciła – teraz razi mnie „kompiuter”.

Moja znajomość języka polskiego nie jest zbyt głęboka, a w każdym razie nie jest ona poparta żadnymi studiami. Nie mogę więc wypowiadać się *ex cathedra*. Mam jednak wrażenie, że nie ma nic złego w powiększaniu zasobu naszego słownictwa, a ten buduje się m.in. poprzez zapożyczenia od bliższych lub dalszych sąsiadów.

Gorączkowa obrona języka polskiego przed zapożyczeniami miała oczywiście wielki sens, gdy Polski nie było na mapie Europy, gdy nie mieliśmy własnego państwa. Dotyczyło to zwłaszcza języka zaborców, który – wprowadzany siłą – stanowił prawdziwe zagrożenie. Ale dzisiaj? Dzisiaj możemy, jak myślę, spokojnie asymilować obce wpływy bez utraty tożsamości, a wręcz przeciwnie – z korzyścią dla naszej kultury, nawet tej najwyższej. W końcu język polskiej kultury muzycznej jest całkowicie zdominowany przez słowa, które trudno uznać za rdzennie polskie. Czy to źle? Czy powinniśmy je zastępować polskimi odpowiednikami?

Możą istnieć obok siebie flizy, kafelki, glazura, płytki ceramiczne (zresztą wszystko to słowa obcego pochodzenia). A czy naprawdę tak bardzo razi niezwykle słowo „wihajster” vel „wichajster”? Nasz język jest niezwykle pojemny i elastyczny. Stąd świetnie radzi sobie z obcymi słowami, szybko je modyfikując, aby dopasować do własnego klimatu i środowiska. Tak aby nie raziły w towarzystwie już zdomowionych w polszczyźnie wyrażań.

Nawet obce skróty, które nic nie oznaczają w języku polskim, bywają świetnie zasymilowane. Weźmy pierwszy z brzegu przykład: nikogo nie dziwi dzisiaj wyrażenie OK, które przecież jest właściwie dziwołogiem, nawet po angielsku.

Walczyć więc o poprawną i bogatą polszczyznę, ale nie starajmy odcinać się od otoczenia, bo to dzisiaj walka z góry przegrana. Szkoda walczyć z wiatrakami. Lepiej je wykorzystać do powiększania własnych zasobów i wzbogacania tym sposobem naszego wspianego polskiego języka.

Kończę:

„Chodzi mi o to aby język giętki
Powiedział wszystko co pomyśli głowa:
A czasem był jak piorun jasny, prędko,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa...”

ABBA

¹ Maria Korytowska: 378, Magdalena Bajer: 382